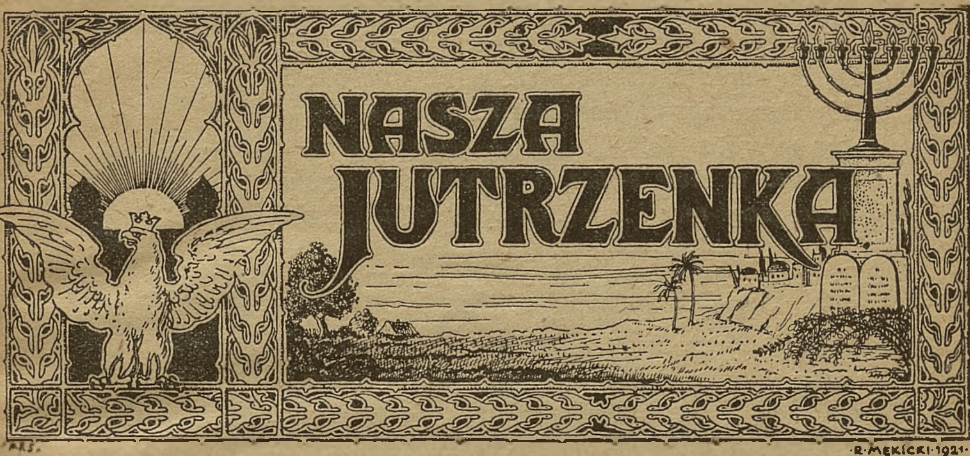
Rok IV. Lwów, listopad 1923. Nr. 1.



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

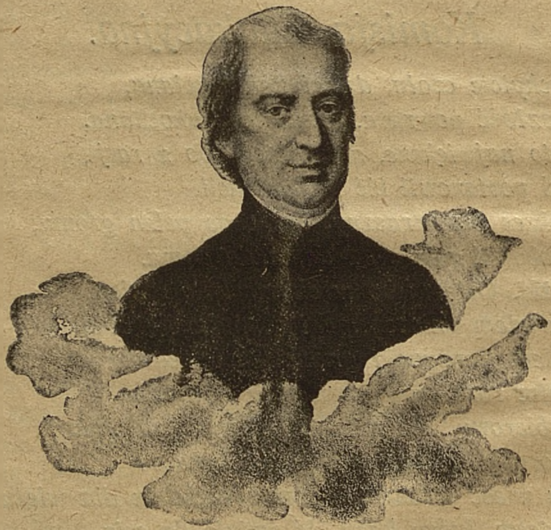
FR. LAZARUSÓWNA.

Komisja Edukacyjna.

Ludzie uchylcie czoła, dzieci zgiąć kolana,
Oto przeszłość powraca, przeszłość ukochana,
Oto swięto największe, najświętsze bo z racji,
Że naród postanowił iść ku edukacji.
Był to okres przestraszny, był czas pełen gromu,
Wieść hiobowa goniła od domu do domu.
Czas ciężki. Całe niebo w chmur było topieli,
Przed narodem zniszczenie i rozpacz się ścieli,
Za narodem huragan i grzmoty i burza.
To się sejm rozbiorowy z chaosu wynurza.
Sejm rozbiorowy! Aż mi coś w piersi zadrgało,
Bo rozbiorowy znaczy, będzie się konało!
A jednak wieść straszliwa jest szczęściem dla wielu
Tym bodźcem, który każe iść śmiało do celu
I przez wszystkie przeszkody, zapory, choć w trudzie
Idą prześmiałym krokiem nasze orły — ludzie!
Schylcie czoła, to oni: Kołłątaj, Chreptowicz,
Jan Śniadecki, Zamojski, Grzegorz Piramowicz
I Michał Poniatowski, Potocki Ignacy.
Prześmiałym idą krokiem przodkowie, rodacy.
To twórcy władzy szkolnej centralnej, rządowej,

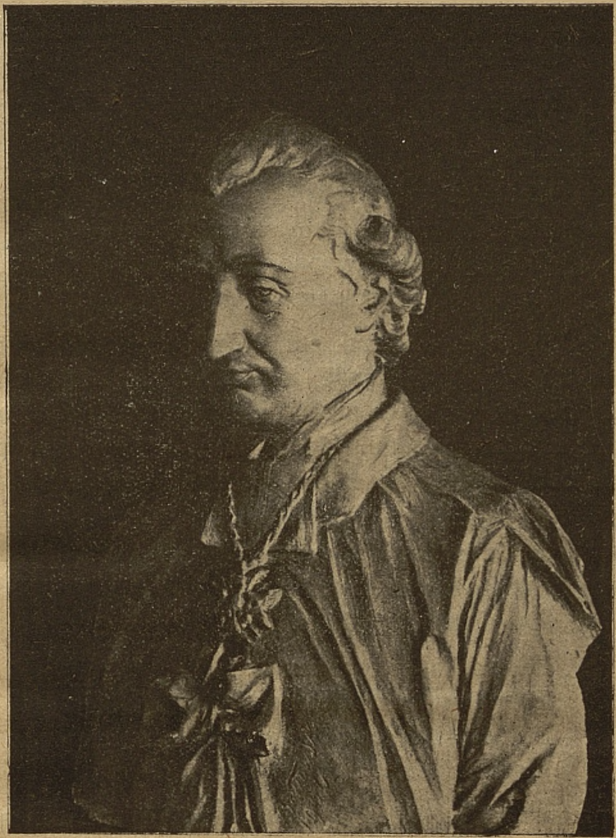
Władzy szkolnej najpierwszej, a iście wzorowej,
Jej wszyscy biją poklask, bo ona ma zrodzić
To, by naród z ciemnoty się mógł oswobodzić,
Aby ducha zasilił, horyzont rozszerzył,
Aby w brata bliźniego jak w siebie uwierzył.
I prosto w złote słońce, by zwróciwszy skronie
Wstrząsnął ręce i z kajdan by uwolnił dłonie.

To było dawno temu i w chwilach szarugi
Sto pięćdziesiąt lat mija, a okres to długi,
Dzisiaj żyjemy w erze, która nastrój budzi,
Nasze jarzmo zrzucone, myśmy wolni ludzie!
Do czynu! Do nauki, do książki, do dzieła!
Edukacji Komisja nas dzisiaj natchnęła.
Budujmy same gmachy pod niebo, przez chmury,
Aby swoją pogodę nam dały lazury,
A ziemia nasza wierna rodząca i czarna
Do siewu niechaj przyjmie złotej zgody ziarna.



Ksiądz Stanisław Konarski.

W roku bieżącym obchodzimy także 150-letnią rocznicę zgonu wielkiego reformatora szkolnictwa ks. Stanisława Konarskiego. Za jego wpływem zaczęto uczyć w szkołach języka polskiego, historji, geografji, używano lepszych podręczników i wprowadzono lepsze sposoby nauczania. Prace Konarskiego sprawiły, że zajęto się wychowaniem i nauczaniem młodzieży i założono Komisję Edukacji Narodowej.



Ksiądz Grzegorz Piramowicz

najbardziej zasłużony w Komisji Edukacyjnej około nauczania i wychowania młodzieży w szkołach początkowych. Z pism Piramowicza: „Trzeba kochać naród ludzki, lubić zatrudnienie około dobra jego, czuć rozkosz w duszy, gdy się co dobrze czyni. A z takim umysłem, z takim sercem wszystkiego się dokaże“.

Pierwszy wymarsz do szkoły.

Czy wiecie jakie to święto święciły dzieci internatu dnia 2 września? Nie wiecie? O jakie dziwo! To był przecie wymarsz do szkoły, ich wymarsz najpierwszy.

Spójrzcie tylko! Cała brama zakładu jest ozdobiona zielenią. Są na niej listki wszystkich drzew ulubionych, a więc liście kasztanu, kaliny, akacji głogu, bo wszystkie życzą im dobrej drogi. Rano, parami zeszły dzieci z 3-go piętra na podwórko i pożegnały się z panią, by pójść dalej same.

— Niech pani z nami pójdzie — proszą, ale pani nie chciała, — musicie się uczyć dać sobie same radę — rzekła i oddała je pod opiekę najstarszego chłopczyka, Bronka Ogińskiego, który chodzi do piątej klasy i jest we wszystkiem wzorem. Każde z dzieci dostało na drogę serdecznego buziaka i poszły. Szły z podniesioną głową, drogą, którą im wskazano, szły i śpiewały, a w ręku widniał kajet i książka:

Każdy z nas jest wesoły,
Bo dziś wymarsz do szkoły,
Dzisiaj skakać wypada
Dziś jest nasza parada!

Ludzie oglądali się za dziećmi, panie chwaliły, że tak grzecznie chodzą i życzyły im wesołej drogi, panowie uśmiechali się pod wąsem, widząc mały korowód, i pewnie każdy z nich sobie życzył, by i ich dzieci umiały tak samo pięknie chodzić parami. Dzieci widząc, że na nie patrzą, prostowały się jeszcze bardziej i nuciły coraz to nową piosenkę:

My sztandaru nie mamy,
Więc książeczką wiewamy
Każda kartka się kłania,
Biel śnieżystą odsłania.

Ile piasku jest w rzeczce,
Tyle liter w książeczce,
Że też książka nieboże
Wszystkie zmieścić je może!

I ledwie przebrzmiała piosenka, zaraz zaczęli nucić drugą i trzecią.

Szli, szli, aż doszli! Szkoła była na Twardej. Trzeba było minąć podwórze, a na podwórzu były kurki.

— Gul gul, — mówią kurki, a dzieci nasze przekładają to sobie na język ludzki, uśmiechają się, patrząc na siebie znacząco:

— Kurki nam życzą szczęścia!

Korowód nasz się rozsypał. Na dole były kurki i tyle słońca, a het na górze, na czwartem czy piątem piętrze była szkoła. Nieznana szkoła. Wiodły do niej brzydkie i ciemne schody, takie, do jakich dzieci nie przywykły.

— Że też pani z nami nie poszła! — żalą się dzieci. Bronek Ogiński poszedł przodem. Szli, szli pod górę i zdało się im, że to wspinanie się nigdy się nie skończy.

— Dlaczego szkoła jest tak wysoko! — Nagle ktoś z tyłu ku nim podszedł, ktoś się ku nim nachyłał. Jakaś twarz jasna uśmiechnięta liczy je wszystkie i o dziwo, mówi im pierwsza skąd przyszli i chce im dalszą drogę pokazać.

— Kto to?

— To pani!

— To szkolna pani!

— To nasza pani nauczycielka!

— O jak to dobrze, że się tutaj spotkali, jak dobrze, że je poznała! Kto jej o nich powiedział?

— Skąd pani wie, że my żyjemy na świecie? — pyta Stacho i za rękę ją bierze. Pani uśmiecha się i mówi że słyszała o „Krasnoludkach“, które przyjść dziś mają do szkoły i które zamiast sztandarem w takt powiewać będą książeczką.

— O „Krasnoludkach“! Taż to jest przecie ich domowe przezwisko!

— A czy ta pani daje także dzieciom przezwiska? — Antek jest śmiały. Gdy chce coś spytać, patrzy prosto w oczy i zaraz pyta:

— Czy pani nam da przezwisko?

— Przecie już macie swoje — rzekła pani ze śmiechem.

— Co to za dziwna pani, która wie o wszystkiem. Julek aż siadł na schodach. Książka wypadła z rąk Teofilki, a dziewczynka taka była zdumiona, że zapomniała o tem, by ją podnieść. Tadek wsadził palec do buzi.

— Czy pani ma takie uszy, że słyszy co się dzieje na odległej ulicy? — pyta Antek i patrzy jej prosto w oczy. Pani spojrzała na niego z uśmiechem i zanuciła:

Do mnie czasem skądś przyleci,
Wieść tycząca różnych dzieci.
Raz przyniesie ją z oddali
Miłe echo z górskiej hali,
Czasem strumyk, potok, drzewa,
Czasem wietrzyk, co przewiewa,
Czasem powie jej jaskółka,
Czasem miła przyjaciółka!

Teofilka podniosła książkę, Tadek wyjął paluszek z buzi, cała nasza gromadka wieńcem panią otacza, rąk i sukien się jej czepiają i każde pyta:

— A o nas?

— O nas?

— Kto pani o nas powiedział?

— Ja wiem! — zawołał Mietek.

— Któż taki?

— Miła przyjaciółka!

— Miła przyjaciółka — powtórzyły dzieci.

— Kto to taki? — I poczęło się zgadywanie. Jeden myślał że ta przyjaciółka jest pani praczka, inny że pani kucharka, jeszcze inny, że to ta pani, która kupuje obierzyny z ziemniaków, ale nikt nie odgadł. Tymczasem weszli do klasy. Była to izba jasna i duża a w niej rzędami stały ławki. Pani zbliżyła stę do tablicy i narysowała na niej moc gwiazdek. Były to gwiazdki bardzo duże, duże, średnie, małe i całkiem maleńkie. Potem ustawiła dzieci

rzędem w środku sali i coś na gwiazdkach dorysowała. Te dzieci, które nie widziały z daleka, co to było siadały bliżej, te, które widziały siadały dalej. Potem pani stanęła na katedrze, kazała dzieciom uszka nastawić i mówiła do nich najpierw głośno, potem cicho a potem szeptem. Kto z dalszej ławki nie słyszał, musiał siąść bliżej. Każdemu raz na zawsze wyznaczono jego stałe miejsce.

Chociaż wielka gromada,
Każdy miejsce posiada,
Każdy kątek ma własny,
Miły, skromny i jasny.

Gdy już dzieci były usadowione, pani spytała, kto już umie pisać. Zdziś powstał z ławki. Pani zawołała go do tablicy. Chłopczyk wziął kredę do ręki i zaraz powiedział, że to się nazywa kreda i, że wie skąd się bierze.

— Skąd się bierze kreda? — spytała pani. A on pewny siebie rzekł śmiało.

— To skamieniały śnieg! — Zdziś był w błędzie. Śnieg nie może skamienieć, bo się topi w cieple. Kreda pochodzi ze zbitych z sobą skorupek malusieńkich tworków, które w prastarych czasach żyły w morzu i skamieniały.

— Napisz mi słowo szkoła — rzekła pani do Zdzisia.

— Szkoła? — rzekł Zdziś z powagą — domek szkolny, czy dzieci?

— Słowo szkoła!

— Słowo? — nie, on słowa napisać nie umie, on umie tylko na coś popatrzeć i napisać, umie pisać obrazki.

— Napisz co chcesz!

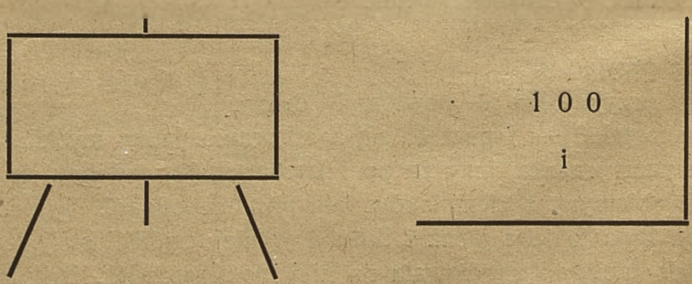
Zdziś poszedł na sam środek klasy i rozejrzał się. Najdłużej wzrok jego zatrzymał się w jednym punkcie. Patrzył nań serdecznym uśmiechem, a potem rzekł do pani:

— Ja napiszę, a kto odczyta?

— Czy to będzie zagadka? — spytała pani.

— Tak zagadka!

— Odczytamy ją wszyscy — rzekła wesoło, a dzieci to potwierdziły: Zdziś poszedł do tablicy i narysował co następuje:



a to miało znaczyć: „Tablica stoi w kącie“.

Zdziś już umie pisać obrazkiem, teraz w szkole nauczy się pisać litery

Nowe pióro chwyci żwawo,
Rączką zgrabnie pokieruje
Raz na lewo, raz na prawo
Aż się papier zasmaruje!
Gdy uczony na to spojrzy,
To go zachwyt chwyci szczery,
Bo w zygzakach mędrzec dojrzy
Same kropki i litery.
Hejże dziatwo do tablicy,
Kreda w rękę, mazać śmiało
A „Jutrzenka“ wszystkim życzy,
By się w szkole dobrze działo!

JÓZEFA SIEBE.

Pan Inspektor.

Chłopcy i dziewczęta w Siankach pragnęli tego, czego pragną często dzieci: „Ach, żeby to dziś nie było lekcyj w szkole!

Wiele rzeczy skłaniało dzieci do tej myśli, naprzykład zimą dobry lód na ślizgawce, pierwsze fiołki na wiosnę, a w lecie dojrzałe czereśnie lub jarmark w Siankach Dolnych, znajdowano sto powodów, by życzyć sobie dnia, wolnego od nauki, a najleniwsi zawsze jeszcze i sto pierwszy powód znaleźli.

Największe leniuszki, jak naprzykład Marynia piekarza, Antek i wójtów Kuba, wprost sobie życzyli, aby nigdy szkoły nie było — żeby tak całkiem szkołę zamknięto! — Tak marzył zwłaszcza Antek, wtedy, gdy nie zrobił rachunkowego zadania. — Ach, żeby choć burza dach zerwała! — dodała Marysia, gdyż w ostatnich dniach wichura zerwała trzy dachówki na piekarni, a Marysia żałowała, że dach szkolny ocalał.

Były to wszakże tylko życzenia. Budynek stał niewzruszenie, stale jasny i okazały, wzniesiony z czerwonej cegły, a otoczony zielonym ogródkiem. W promieniach słońca, szkoła wyglądała tak wesoło, jakby się śmiała ze wszystkich leniuchów. Pan nauczyciel, zawsze chętny i pogodny pomimo żmudnej pracy, nie uznawał wolnych dni po za wakacjami.

Pewnego upalnego dnia osądziły dzieci w Siankach, iż z powodu gorąca powinne być wolne i to tembardziej, że poziomki w lesie dojrzały. Nauczyciel myślał o tem mniej niż kiedykolwiek, bo właśnie nowy inspektor zapowiedział wizytację szkoły. Nauczyciel zadawał z racji zapowiedzianej wizyty trzy razy tyle, co zwykle: biada temu, kto źle lekcję odrobił! W tym

czasie nauczyciel nie znał żartów, było dla niego punktem honoru, aby się klasa popisała, a jednak słońce świeciło tak wysoko i tak ciekawie wglądało do izby szkolnej, że myśl o poziomkach na Koźlej Górce, tkwiła przyczajona w głowach dzieci, jak mały chochlik. — Ach ten inspektor! — westchnął pewnego ranka Franek, biorąc książki, bo właśnie wybierał się do szkoły, a babka go spytała: — Jak się nazywa wasz inspektor? — Szymański — mruknął niechętnie Franek i drapnął w okamgnieniu. — Ach ten inspektor — jęczał Antek, a Marysia, córka piekarza, zalewała się rzewnemi łzami, bo wolałaby już wszystko inne od inspektora. — Bim, bam, bim, bam, rozległ się głos dzwonka szkolnego, a leniuszki pobiegły szybko do szkoły, bo mimo wszystko nie było innej rady. Równocześnie wszedł do zajazdu na górce miły, młody człowiek. Usiadł przed domem i zamówił szklankę mleka i kromkę chleba z masłem. Gospodarz sam mu usłużył, a młodzieniec wszczął z nim rozmowę. Pytał wskazując czerwony budynek, czy to szkoła i chwalił jej piękny wygląd w pośród gęstej zieleni. Gospodarzowi przyszło zaraz na myśl, że gość jest zapewne oczekiwanym inspektorem, skoro pyta o szkołę, spytał go więc o nazwisko. — Szymański — przedstawił się młodzieniec. — Zaraz się domyśliłem — rzekł gospodarz, kłaniając się niezwykle nisko — witam Jaśnie Wielmożnego pana Radcę, uprzejmie witam! — Co? — rzekł zdumiony młodzieniec — za kogo pan mnie bierze? — Wszak pan inspektor Szymański — rzekł gospodarz, kłaniając się po raz trzeci, poczem odszedł szybko w głąb domu: — Kasiu, Kasiu! — wołał — lećże pędem do szkoły i powiedz, że inspektor przyjechał, a spiesz się!

Kasia popędziła jak strzała. Dopiero przed trzema laty wyszła ze szkoły, więc dobrze wiedziała, co znaczy inspektorska wizyta! W szkole było cicho. Najmłodsze dzieci pisały: „Zając biegnie przez pole“. Starsze rachowały, gdy wtem wpadła Kasia do klasy krzycząc na całe gardło: — Inspektor! Powstał zamęt. Nauczycielowi z irytacji trzcina wypadła z ręki, troje dziewcząt się rozpłakało, a wiecznie głodny, gruby Wojtek, który właśnie ukradkiem zajadał śniadanie, źle połknął i chleb trafił mu do tchawicy. Poczerwieniał jak rak, kaszlał i ksztusił się. Jedne dzieci poczęły chichotać, inne jęczały, a nauczyciel udał się bez tchu do zajazdu, aby powitać inspektora. Kasia biegła za nim. Młodzieniec siedział spokojnie przed zajazdem i pił mleko, gdy najniespodziewaniej w świecie stanęli przed nim wójt, sprowadzony na prędce, wraz z panem nauczycielem i obaj wygłosili tak uroczyste przemowy, że gość nie mógł ukryć zdumienia. W końcu roześmiał się na całe gardło i śmiał się tak swobodnie i wesoło, że z kolei zdziwili się wójt i gospodarz. Ani tak młodego, ani tak wesołego radcy nikt z nich nigdy nie widział! Nauczycielowi cała sprawa wydała się nieco dziwna, a jednak karczmarz mówił przecie wyraźnie, że pan ów jest inspektorem, więc widocznie tak było! Po przemowach wziął radca nauczyciela pod ramię i powiedział: — „Teraz chodźmy do szkoły panie kolego!“

Przyznać trzeba, że gdy inspektor wszedł do klasy, było tak cicho jakby makiem posiał, bo wszystkie dzieci siedziały jak małe myszki. Radca stanął na podwyższeniu, spojrzał na klasę wesoło i uważnie i powiedział: -- Kochane dzieci, nie wątpię, że jesteście pilne i, że spełniacie swój obowiązek! Na te słowa niektóre dzieci się zmieszały i zapłoniły, a radca zdawał się tego nie widzieć i mówił dalej: — Nie chcę was przeto męczyć rozpytywaniem, będziecie dziś miały dzień wolny, bo tak ładnie na dworze! Czy zgoda? — Dziękujemy! — wołały dzieci i z wielkiej radości śmiały się od ucha do ucha. — Pakujcie więc książki i zmykajcie! Widziałem dużo poziomek w lesie, dalej na poziomki! Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Książki zostały spakowane w okamgnieniu, a dzieci tak umknęły, jak mkną zajączki przed myśliwym. — Do widzenia panie kolego, wnet tu powrócę — rzekł radca do nauczyciela — panu przyda się też ten dzień wolny! — To rzekłszy skłonił się uprzejmie i odszedł spiesznym krokiem. — Jeszcze nigdy nie widziałem takiego inspektora — rzekł nauczyciel. — Ani ja! — odparł wójt. To samo pomyślał karczmarz, gdy inspektor pożegnał się ze śmiechem i odszedł, przyśpiewując sobie wesoło. Tylko dzieci nie robiły uwag. Co tchu pobiegły do domów, odnosiły książki, zabrały koszyczki lub garnuszki i w parę minut później już były wśród poziomek w lesie na Koźlej Górce. W domu żadne nie zostało. — Pan inspektor kazał iść do lasu — odpowiadały ojcu lub matce, która chciała je tego dnia zaprząc do pomocy. Był to rozkoszny dzień! Poziomek była moc! Niektóre miejsca w lesie tak się czerwieniły, jak gdyby Kaśka rozłożyła tam swoją nową sukienkę. Ale dzieci dały im radę, bo dzieci z Sianek mają bardzo dobre i pojemne żołądki. Niestety, wszystkie przyjemne dni mijają, i ten minął. Nie zakończył się jak czasem bywa sprzeczką, łzami, przykrością, bólem żołądka lub też rozdarciem ubrania. Pozostał tak przyjemnym aż do końca, to jest, aż dzieci poszły spać. Antkowi śniło się tej nocy, że inspektor siedzi na jego łóżku i mówi aby on Antek, tylko wtedy chodził do szkoły, kiedy mu się zechce. Franek otworzywszy następnego ranka oczy, westchnął: — Żeby też i dzisiaj przyszedł inspektor! Inspektor nie przyszedł a nauka szła jak codziennie.

W trzy dni potem dzieci życzyły sobie znowu wolnego dnia, bo do Sianek Górnych miała nadejść nowa sikawka i gospodarze chcieli ją zaraz wypróbować. Byłą wprawdzie w Siankach stara sikawka, lecz miała wielką wadę, woda zaczynała z niej tryskać wtedy dopiero, gdy pożar już ugaszono. Raz naprzykład zajął się dach u wójta. Sikawka zajechała wspaniale, ale zanim zaczęła działać, wójt sam ugasił pożar, wylawszy trzy wiadra wody na dach. Zato, gdy potem wszyscy przystanęli dookoła oglądając miejsce pożaru i omawiając jego przyczyny, sikawka sama nagle trysnęła wodą i zlała bliżej stojących i to tak gruntownie, że nie było na nich suchej nitki.

Gmina zakupiła więc nową sikawkę, a wójt umyślnie tak zarządził, by ją odstawiono wtedy, gdy dzieci będą w szkole. — Ten wścibski ludek włazi

tylko w drogę — zawyrokował. To nie ładnie o nim świadczyło i dzieci bardzo narzekały. Wkrótce po rozpoczęciu lekcji dał się słyszeć turkot wozu. — Może sikawka jedzie? — szepnął Antek, a Anusia Drozdówna trąciła łokciem Marysię: — Maryśka! — sikawka jedzie! Nie była to jednak sikawka lecz dorożka, w której siedział jakiś starszy pan ze złotemi okularami na nosie. Dorożka zatrzymała się przed szkołą, a Franek zawołał: — Proszę pana, ktoś przyjechał! — Co znowu? Któżby mógł przyjechać? — ofuknął nauczyciel. — Jakiś gruby pan, oho, już tutaj idzie! — rzekł Franek, wskazując czarnym od atramentu palcem na drzwi, które się właśnie otwarły. Wtedy nauczyciel też na drzwi spojrzał, a Staśka korzystając z tego, że pan nie patrzy na dzieci, rzuciła Wojtkowi papierową kulę na głowę. To była kara za to, że jej odwiązał fartuszek, gdy szli do szkoły. Kula jednak odbiła się tylko o głowę Wojtka i uderzyła w nos obcego pana. — Oho! — rzekł tenże — piękne przyjęcie! — Hi, hi — zachichotała Anusia Drozdówna. — Hi hi! — rozległo się jakby echem po wszystkich kątach klasy. — Cicho! — zawołał gniewnie nauczyciel, ale gdy się dzieci w Siankach Górnych rozbawią, to trudno je uspokoić. Miały z pewnością najlepszą wolę, by przycichnąć, ale nie mogły. Obcy pan potrząsnął głową pełen zdumienia, a nauczyciel uderzył trzcinką o pulpit i zawołał groźnie: — Cicho być w tej chwili! To poskutkowało. Wtedy skłonił się nauczyciel przed obcym i zapytał grzecznie: — Czem mogę panu służyć? — Jestem radca szkolny, Szymański — odparł równie grzecznie. Na te słowa śmiech i chichot powtórzył się w klasie, a jeden z najzuchwalszych chłopców zawołał: — Przecież inspektor Szymański dopiero co był u nas! Nauczycielowi pot kroplisty wystąpił na czoło. Ten pan bardziej niż tamten wyglądał na inspektora, więc głosem bardzo stanowczym rzekł do klasy: — Kto się jeszcze słówkiem odezwie, ten przez cały tydzień zostawać będzie codziennie przez godzinę po lekcjach. Wtedy ucichło naprawdę. Dzieci wiedziały, że niema żartów, gdy nauczyciel mówi w ten sposób.

Obcy pan też nie żartował, był naprawdę inspektorem.

Żartował tylko wesoły młodzieniec z przed kilku dni, a na ten żart naprowadziła go pomyłka gospodarza. Prawdziwy radca śmiał się, gdy się o tem dowiedział, ale nie wziął przykładu z żartownisia i nie dał dzieciom wolnego dnia. Przeciwnie zaczął od bardzo ostrego przepytywania dzieci, z miną poważną, z rękami splecionemi na plecach, przechadzał się po klasie tam i z powrotem, i poważnym wzrokiem mierzył dzieci. Malcom robiło się markotno i straszno pod jego surowem spojrzeniem, odrazu odechciało im się śmiechu i płoniły się po uszy ze zmieszania i niepokoju. — Powiedz mi, kto był Kazimierz Wielki? — spytał, wskazując Kubę wójtowego. Kuba znał dokładnie każdego konia, każdą krowę i każdą owcę ze wsi, ale o królach polskich nie miał pojęcia. Otworzył więc usta tak szeroko, jak się tylko dało, co było oznaką głębokiego namysłu. Po chwili rozpromieniła mu się twarz

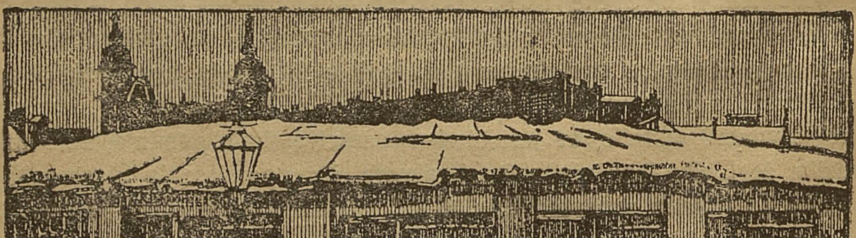
i zawołał: — To najstarszy młynarza, to Kazik! — Kto taki? — spytał zdziwiony inspektor? Nie mógł przecie wiedzieć, że najstarszemu synowi młynanarza jest Kazik na imię i że z powodu niepomiernej wysokości, dzieci nazwały go „Wielkim“. Z niezadowoloną miną i chmurnem czołem rzekł: — Słuchaj synu, jesteś przecież... — Szszszszsz — zaszumiało coś na dworze, i w tej chwili struga wody wpadła przez otwarte okno do izby szkolnej, zalewając tak radcę, jakoteż dzieci, a Kubie wójtowemu tyle się wody do ust nalało, że zamknął je ze strachu. — Cóż to jest? — wołał przerażony radca, otrząsając się z kropel. — Cóż to jest? Wtem: — Szszsz — druga struga wody trysnęła do pokoju. Tym razem trafiła dziewczęta, które z piskiem kryły się pod ławki. — To nowa sikawka — zgadł nauczyciel — widocznie ją próbują. — Szszsz — trysnęła trzecia struga, zalewając całą klasę tak, że inspektor schronił się na katedrze, gdy dzieci wskakiwały na ławki i stoły. Nauczyciel wybiegł pospiesznie a za nim pospieszyło kilku malców. Na placu przed szkołą stała nowa sikawka, a kilku gospodarzy majstrowało coś przy niej z iście strapionemi minami. Udało się im puścić w ruch nową sikawkę, ale nikt nie umiał strumienia wody zatrzymać. Jedno koło sikawki trafiło na wybój, więc nie można jej było nawet ruszyć ani zmienić kierunku. Strumień po stumieniu tryskał i wpadał gwałtownie do klasy, a ociekające wodą dzieci śmiały się lub płakały, skakały jak żabki w bagnie i uciekały, gdzie które mogło. — Już mam! — zawołał nagle piekarz i zamknął sikawkę, a zdyszany wójt rzekł do nauczyciela: — Coś mi się zdaje, że nawet do klasy nachłapałem! — Nam się także zdaje! — odpowiedzieli jednocześnie nauczyciel i inspektor. Ociekali obydwaj wodą, jak gdyby właśnie wyszli z kąpieli. — U! u! u! tak mokro! — rozpaczała Maryśka, a za jej przykładem płakały i żaliły się inne dzieci. — Ależ dzieci, biegnijcie do domu! — rzekł radca — teraz i tak nauki nie będzie. Toż to była radość nielada! Niektóre dzieci zapiszczały z radości, a wszystkie bez wyjątku zapomniały w jednej chwili o tem, że są przemoczone i żadne nie pobiegło do domu. Otoczyły sikawkę i przypatrywały się jej ciekawie, podczas gdy inspektor z nauczycielem powrócili do szkoły. Wójta drażniła gromada wścibskich dzieci, ale na to nie było rady. Dzieci zostały na miejscu mimo jego narzekania. Klasa zamieniła się w jezioro, a zeszyty, pogubione w czasie ucieczki, pływały w niem jak rybki. — Na szczęście — jak mówił Antek, wody nalało się i do sąsiedniej izby, więc lekcyj być nie mogło. Dzieci miały znowu dzień wolny, co je wprawiło w zachwyt. Inspektor był bardzo uprzejmy i nie gniewał się. Przenocował na plebanji, a następnego dnia odwiedził szkołę bez żadnych przeszkód. Dzieci umiały więcej, niż się tego po nich spodziewał, pomimo że Wojtuś dowodził uparcie, że jest siedem części świata, pomimo, że Maryśka twierdziła, że Chiny leżą niedaleko Krakowa, i że pomieszała Śląsk z Afryką, i pomimo, że Franek zapewniał, że 10×7 jest 90, i że połowa 100 jest 200, ale to nic; takie błędy mogą się przecież wydarzyć.

Narodziny.

Strzelano. Grom za gromem walił niby grzmoty,
Świst za świstem przelatał kul ognistą drogą,
A kartacze waliły w ludzi i w przedmioty
I niszczyły dobytek ognistą pożogą.
Wszystko, wszystko padało jak skoszona trawa,
Darmo pragną bój wstrzymać odważne ramiona,
Ze śmierci bohaterów zrodziła się sława,
Kosztem ludzkiej kultury walka zwyciężona!
Odmęt, odmęt, ogrom i chaos i jęki
Jedzie tysiąc pogrzebów przez zburzone grody,
A krzyk długi jak wycie, krzyk strasznej udręki,
To odgłosy zwycięstwa, początek swobody!

Budować! Hej budować przychodźcie na szańce.
Po strasznym kataklizmie do pracy, do dzieła!
Bo i ci, którzy padli i wy, to wybrańce,
Stara era skończona, nowa się zaczęła!
To nic, że ludzie padli, że ziemia krwią broczy,
Świstem jęki przycichły, pożoga się stliła.
O ludzie, otwierajcie przymrużone oczy
Pośród cierpień straszliwych się Polska zrodziła.
Budować, hej budować w przeróżnej dziedzinie,
Oto nasze zadanie, to hasło, to wola.
Budować, hej budować nim życie nam minie
I tak zwionie ze świata jak zwiała niewola!
Bez waśni, bez przesądów, dłoń w dłoni, a społem
Otoczmy całą ziemię ogniwem szermierzy.
Budować, hej budować z podniesionem czołem,
Kto kocha i kto cierpi i kto w przyszłość wierzy!

R. J.



INŻ. EDMUND LIBAŃSKI.

O cudach radjotechniki.

Wyobraźcie sobie, że macie chwilę wypoczynku i pragniecie miłej rozrywki... pięknej opowieści lub śpiewu, muzyki, pouczającego zajmującego wykładu, wesołego gwaru itp. A jesteście gdzieś daleko od miasta w zaciszu wiejskiem i niełatwo o godziwą rozrywkę. Żeby tak jakaś dobra czarodziejka zjawiła się i uniosła w krainy miłych nietylko marzeń ale upragnionej rzeczywistości — tak sobie dumacie. I istnieje naprawdę taka czarodziejka — to radjotechnika! Radius — znaczy promień, a słowo „radjotechnika“ oznacza olbrzymi splot wynalazków technicznych, polegających na wysyłaniu i odbieraniu znaków, głosów muzyki, śpiewu, wiadomości wszelkich na promieniach niewidzialnych — na falach elektrycznych.

Najbardziej popularnym i użytecznym stał się wynalazek „radjotelefonu, umożliwiającego słuchanie i porozumiewanie się na olbrzymie odległości ponad lądy i morza bez żadnego połączenia, jak przy zwyczajnym telefonie — zupełnie bez drutu. Wyobraźcie sobie, że przychodzę z aparatem takim w niewielkiej skrzyneczce, ustawiam na stoliku — urządzam niedługi przewód z drutu przez okno do połączenia z jakąś częścią metalową budynku, na której ustawię drut pionowy, tak zwaną antennę. Potem wykonuję kilka prób z obracalnem kółkiem i przyłożę na uszka wasze słuchawki zwyczajne. Zamiast słuchawki mogę ustawić ramę z drutem i tubę, podobną do tuby fonografu. I teraz zaczną się dziwy! Słychać kilka skrzypów, niewyraźnych głosów — kręcę kółeczko dalej i nagle rozbrzmiewa wspaniały koncert kapeli — całej znakomitej orkiestry. — Skądto? — na dworze pusto, niema nikogo, wieczór i cicho wokół! Skąd ta prześliczna muzyka?!

Oto koncert ten odbywa się w Paryżu na wieży Eiffla — tam doborowa kapela gra a słyszą ją wszyscy abonenci radjotelefonu, mający w domu aparat taki — słyszą na tysiące kilometrów odległości! Ale może wolicie śpiew chóru? — Zaraz służę... kręcę guzik aparatu tak, by wskazywał na promienie elektryczne o długości fal np. na jakich wysyła stacja wysyłkowa „radio“ w Brukseli, zespół akustyczny opery. — Już słyszymy uroczy śpiew primadonny... grają Mignon — artystka śpiewa swoją brawurową arję... A może i śpiewu dość... pokręćmy inaczej — nagle słyszycie opowiadanie, od godziny 6 do 7 wysyła centrala w Londynie piękne bajeczki dla młodzieży — artystka opowiada wyraźnie z deklamacją niezrównaną — słuchamy

w zachwycie! Nadchodzi godzina 8-ma wieczór — możeby sobie tak trochę zatańczyć. Macie gości nieco i ochota jest. Życzenie w chwileczce się spełnia — oto bajeczna muzyka taneczna, walczyk brzmi elektryzująco... gdzie go grają? — daleko, bo gdzieś za górami i wodami, w Genewie, a my sobie przy nim tańczymy i bawimy doskonale!

Oto cuda tego nowego wynalazku — radjotelefonu, dla urzeczywistnienia którego pracowało lat 20 sporo uczonych, badaczy, inżynierów i wytrwałych wynalazców! — Zapewne pragniecię namacalnie w to uwierzyć i przekonać się, iż piszę prawdę! — Otóż tak jest — zachwycać się mogą tem dzieci Francji, Anglji, Niemiec, młodzież Ameryki! — u nas jeszcze nie można, bo na razie nie wolno nikomu bez pozwolenia ustawić takiego aparatu. — W Anglji już w szkołach ludowych poznają uczniowie — poznaje młodzież te dziwy techniki — u nas i ludzte starsi nie interesują się tem, bo nie znają doniosłości tego wynalazku. Musimy jeszcze poczekać!

Odważny chłopiec.

W pewnej wiosce we Francji pasł bydło na ściernisku kilkunastoletni pastuszek nazwiskiem Jupille (czytaj: Żipij). W ręku miał batożek a na nogach dwa drewniane chodaki, jakie tam noszą. Opodal bawiło się kilkoro dzieci.

Wtem spostrzegł pastuszek dużego psa, który biegł prosto ku dzieciom. Włos na szyi miał najeżony, a ogon ściągnięty pod siebie; nie szczekał, tylko warczał niewyraźnie. Po tych oznakach poznał pastuszek, że to pies wściekły.

Odważny chłopiec nie myślał o sobie, lecz o małych dzieciach; był pewien, że pies je wszystkie pokąsa. Rzucił się więc w jednej chwili między dzieci a psa i zastawił się biczyskiem.

Wtedy pies chwycił go za lewą rękę, lecz pastuszek wetknął mu ją aż w gardło tak, że pies nie mógł głową ruszyć i zębów uwolnić. Nieustraszony chłopiec skręcił mu potem batogiem pysk, zdjął chodak z nogi i uderzył nim psa kilka razy po głowie tak silnie, że go zabił na miejscu.

Wówczas dopiero uwolnił lewą rękę pokąsaną i podszedłszy do strumyka, obmył ją świeżą wodą. W ten sposób uratował pastuszek inne dzieci, ale naraził się sam na wściekliznę, straszną chorobę, która pociąga za sobą śmierć niechybną. Gdy przyszedł do domu i opowiedział o tym wypadku, wypalono mu natychmiast rany. Zaraz też rodzice dzieci uratowanych złożyli potrzebny fundusz i posłali go do Paryża, do Zakładu słynnego lekarza Pasteura (czytaj: Pastera), który wynalazł środek przeciwko wściekliźnie. Tam uratowano dzielnego chłopca.

Wystawiono też piękny pomnik z bronzu dzielnemu chłopcu, który do dziś dnia widzieć można w podwórzu Zakładu Pasteura w Paryżu. Pomnik przedstawia pastuszka walczącego z psem wściekłym.



WIADOMOŚCI POŻYTECZNE.

Trzęsienie ziemi w Japonji. W miesiącu wrześniu b. r. nawiedziło wielkie trzęsienie ziemi Japonję, państwo leżące na Dalekim Wschodzie, na brzegach oceanu Wielkiego. Kraj ten leży na wyspach, które podlegają bardzo często silnym trzęsieniom ziemi. Ostatnie jednak trzęsienie ziemi sprawiło największe spustoszenie i nieszczęścia, które przerastają rozmiarem swoim dotychczasowe w Japonji.

Miasta wielkie jak Tokio, Osaki, Jokohama ucierpiały bardzo, gdyż dużo budynków rozpadło się w gruzy, zasypując ludzi i zwierzęta. Szereg zaś mniejszych miast uległo zupełnemu zniszczeniu. Nieszczęście było wielkie. Setki tysięcy ludzi zginęło, a miljony ludzi nie mają gdzie mieszkać. To też wszystkie narody spieszą z pomccą Japończykom. Państwo nasze i liczne towarzystwa w Polsce przesyłają także datki dla dotkniętych nieszczęściem Japończyków, lubimy bowiem i podziwiamy ten dzielny naród a współczujemy z nim w jego nieszczęściu.

Wybuch w Warszawie. Stolica nasza, Warszawa ucierpiała znowu w miesiącu październiku b. r. z powodu wybuchu prochu na Cytadeli. Dużo ofiar było w ludziach. Wszyscy byliśmy poruszeni tym wypadkiem i współczujemy serdecznie z rodzinami, których członkowie ponieśli śmierć wskutek wybuchu. Niech nas Bóg chroni od wypadków takich!

Rozwiązanie zagadek z nr. 19—20.

Łamigłówka: *Kopernik, astronom.* **Szarada:** *turnieje.*

Zagadka.

I tak i wspak, jedno znaczę —
Raz tylko byłem na ziemi,
By zmienić swawolę w płacze
I zrobić ludzi lepszymi.
Że byłem groźny, surowy
Powiedzą góry, parowy.

Zagadka matematyczna.



Zmazać 8 kresek i dopisać 4 kreski tak, by suma kresek u każdego boku została niezmieniona.

Łamigłówka,

nadesłana przez R. i A. G. oraz N. B.

* * * * * * * Sól używana do ogniwa elektrycznego.
* * * * * Główne miasto Japonji.
* * * * * * * Uczony w zawodzie rolniczym.
* * * * Jeden z przyborów do szycia.
* * * * Kwiat błękitny.
* * * * * Góra, na której nadano 10 przykazań.
* * * * Rzeka w Czechach.
* * * Spójnik.
* * * * * Przyimek.
* * * * * Wyspa na morzu Jońskiem.
* * * * Imię skrócone.
* * * * * * Inaczej przyzwyczajenie.
* * * Pierwsze 3 litery alfabetu.
* * * * Stworzenia wodne w l. m.
* * * * Zaimek dzierżawczy.
* * * * * Pismo święte u Turków.
* * * * * Imię żeńskie.

Litery początkowe mają utworzyć imię i nazwisko sławnego reformatora szkolnictwa, litery zaś końcowe pierwszą najwyższą władzę szkolną z przed 150 laty.

Trafne rozwiązania zagadek nadesłali:

Lwów: Landes, Tennenbaum, Pariser, Bund, Pechner, Erb, Spinder, Nemet, Goldfiszerówna, Seeliżanka, Rotówna. Preminger, Długo iat, Goldenthal, Berger, Hermelin, Weissówna, Gerber, Lax, Kugel, Wernerówna. **Kraków:** Borger, Demmer, Landhausówna, Reichman, Katz, Jakubowiczówna, Grossówna, Lernerówna. **Warszawa:** Stückgold, Flachs, Wolski, Bergman. **N. Sącz:** Offenberger. **Turka:** Brenes. **Drohobycz:** Mandel, Garfunkel, Sperling, Tigerman, Oberlander. C. d. w następnym numerze.

„NASZA JUTRZENKA“ **jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej.**

Numer pojedynczy 20.000 Mkp., z przesyłką 21.000. Konto czekowe P. K. O. Nr. 149.547

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Lwów, ul. Janowska 26.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Dawid Berlas.** Z drukarni Polskiej we Lwowie, pod zarządem Z. Kiełbusiewicza.